TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 19. *Chicago, Ills., 4 Listopada, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Marya zastała dwór w tem samem prawie osieroceniu, w jakiem go była opuściła przed wyjazdem swoim; książę Jakób bowiem był z wojskiem pod Kamieńcem Podolskim. O tem się tylko dowiedziała, iż Ruszczyc zdołał uzyskać zaufanie księcia i że był nieodstępnym jego towarzyszem, i to ją pocieszało dla tego, że zdawało się dowodzić, iż on żadnego na nią nie może mieć podejrzenia.

Wkrótce po powrocie swoim udała się do ciotki, zwierzyć jej się z wszelkich uczuć i wrażeń za granicą odebranych i zaspokoić jej troskliwą ciekawość względem przypadku, o którym dwuznacznie tylko z zatajeniem szczegółów w listach swoich wspomniała. Za widzeniem się z nią dopiero, opowiedziała jej całe zdarzenie tak, jak się stało; lecz nie chciała czynić domysłów nad tem, czy kto inny, jak zwyczajni

rozbójnicy, tego niegodziwego czynu mogli być sprawcą.

Póki dwór bawił w Żółkwi, póty pozostała Marya w domu podkomorstwa; lecz w końcu roku musiała do niego wrócić i towarzyszyć królowej w podróży do Warszawy, gdzie się miało odbyć świetne wesele Wielopolskiego, starosty krakowskiego, z jedyną córką Potockiego, kasztelana krakowskiego.

Tymczasem wrócił był książę Jakób z Wołoszczyzny i pojechał za królestwem do stolicy. Świetność zabaw i obecność królewicza wzbudziły w Maryi wspomnienie na owe pamiętne uroczystości w Krakowie, za powrotem królewskim z pod Wiednia wyprawiane, i podały jej nie jednę sposobność żywienia nadziei, której się jeszcze nigdy wyrzekać nie chciała. Póki bowiem książę sprawami pospolitemi był zajęty, lub roztargniony dzieleniem zabaw rycerskich z młodzieżą, póty zdawał się niepamiętać wcale na wrażenie, jakie na nim niegdy Marya była uczyniła. Lecz gdy ją ujrzał wśród świetnej uczty przewyższającą rówienniczki swoje pięknością i niewymownym wdziękiem, wracał do niej z ową uprzejmością i z wyrazem żywszego uczucia, które złudzić mogły umysł niewiasty, mniej nawet uprzedzonej i żadnemi nadziejami nie upojonej. Względy, jakie jej na wszystkich uroczystościach okazywał, i pierwszeństwo, które jej dawał przed innemi pannami dworu i córkami najznakomitszych panów polskich, wzbudziły zawiść między wieloma i dały pochop wielu plotkom i domysłom, tak dalece, iż Marya głównym była przedmiotem rozmowy niewieściej po wszystkich zgromadzeniach. Póki mniej jaśniała na wielkim świecie, póki niczyjej nie wzbudzała zazdrości, póty się mniej zajmowano szczegółami jej życia, i powszechnie tylko oddawano zasłużone pochwały jej wdziękom i skromności. Lecz teraz dowiadywano się pilnie wszelkich zdarzeń jej pożycia, a złośliwe języki szukały w nich powodu do rzucenia potwarzy i do obmowy.

Była właśnie naznaczona bardzo uroczysta wieczorna zabawa u dworu, na którą wówczas wszystko, cokolwiek Warszawa świetnego w sobie mieściła, do Wilanowa spieszyło. Sto z górą sani z przepychem przystrojonych i dobranemi cugami zaprzężonych, zajeżdżało w wieczornej dobie przed pałac wilanowski, przy zgiełku wielkiej liczby hajduków i służących wszelkiego rodzaju, przy głuszącym odgłosie dzwonków i rżeniu koni. Przybywające sanie były podzielone na oddziały, z których każdy zawierał w sobie grono gości zamaskowanych i wyobrażających albo jakie mitologiczne lub allegoryczne gruppy, albo naśladujących w kosztownych ubiorach odległych stref ziemi mieszkańców.

Królestwo Ichmość przyjmowali z największą uprzejmością gości i przypatrywali się ciekawie wchodzącym kolejno oddziałom. Przez czas niejaki trzymały się razem allegoryczne grona; lecz później, gdy rozpoczęto tańce, pomięszały się z sobą wszystkie oddziały, i widziano Muzy i skromne Westalki otoczone oddziałem hożych rycerzy ubiorem swoim Trubadurów przypominających.

Królowa urządziła była osobne kadrylle z pomiędzy dworzan i panien dworskich; i gdy po długiej zabawie zaczęto roznosić chłodniki, ozwały się trąby i kotły, które ich przybycie oznajmiły. Najprzód weszło czterech Francuzów z pannami tegoż narodu w hiszpańskim stroju, którzy z kastanietami w ręku tańce temu narodowi właściwe z wielką zręcznością przed goszczącymi okazali. Skoczne bolero i poważne fandango, naprzemian zajmowały patrzących. Pochwalił król zręczność tancerzy i tancerek, a potem dał znak, ażeby wpuszczono grono tancerek polskich, z którem się chciał przed królową popisać. Za danym znakiem ozwała się wesoła muzyka, a porzucając pieszczone tony, zamaszystym mazurem rozweseliła wszystkie umysły, że mimowoli każdy z nogi na nogę przestępował. Otworzyły się podwoje i cztery wabne dziewice królewskie z rozpuszczonemi wstęgami, z poczwórnemi warkoczami, ze złocistemi na głowie czółkami, w czerwonych gorsecikach, trzymając w rękach kwieciste fartuchy, wyskoczyły naprzód i w wesołych pląsach, z uśmiechem na twarzy, zbliżyły się do króla i podały mu wieniec ze złotych kłosów zwity, chcąc wyobrazić wesoły obrzęd ofiarowania plonu dziedzicowi po skończonem żniwie.

— Dalej chłopcy mazura! — zawołał król obracając się do księcia Jakóba i otaczającej go młodzieży; — weźcie te cztery krakowskie dziewki do tańca i pokażcie, że narodowy taniec wdzięczną prostotą swoją ze sztucznemi skokami w równi stanąć może.

Posunął się książę Jakób ku młodym dziewicom, z których dwie w przodku trzymały

jeszcze wieniec podany. Mógłże się wahać w wyborze? Marya była między niemi. Jej śnieżne ramie sparło się poufale na ręce królewicza, rumieniec ozdobił jej lica, i wyraz anielskiej skromności nie zdołał pokryć uśmiechu, który na jej ustach osiadał. Niedługo stanęło całe koło, a żywe i pełne niewymuszonych wdzięków skoki, radość po wszystkich twarzach roznosiły.

Lecz w oddaleniu czuwała ponura zazdrość pod postacią dwóch opuszczonych dam dworskich, które żadnego czynnego udziału w zabawie nie miały.

— A widzisz ich znowu razem, — rzekła jedna do drugiej, — ja na to dłużej patrzyć nie mogę; niech skaczą do woli, usiądźmy sobie w ustroniu.

— Zapewne — rzekła druga — mam ci też właśnie co powiedzieć o Modrzejowskiej, coś bardzo ciekawego i prawdziwego.

— Cóż takiego? — zapytała pierwsza, i usiadłszy z towarzyszką w miejscu od tańczących oddalonem, ciekawie słuchała jej powieści.

Wszak wiesz, że jedna z Francuzek wczoraj nagle do Paryża odesłaną została, ale przyczyny tego nagłego jej oddalenia zapewne się nie domyślasz.

— Z pewnością nie wiem, lecz mówiono, że Mondor tego przyczyną.

— Tak jest, Mondor, ale przytem dowiedzieliśmy się więcej. Francuzka ta pokłóciła się z Mondorem i w gniewie wymówiła się z tem, iż w jej ręku jest zguba jego, że gdyby chciała wydać jego niegodziwość, łatwoby się znalazł taki, któryby go za nię ukarał. Dosłyszała tego Pani de Feud'herbe, i pospieszyła z doniesieniem o tej groźbie do królowej. Natychmiast wyszedł rozkaz niezwłocznego wyjazdu dla owej panny dworskiej; lecz nim odjechała, zdołała powierzyć nam kilku tajemnicę, która tak groźną dla Mondora była.

— Ale cóż to ma za związek z Modrzejowską?

— Bardzo wielki; bo Mondor, wzdychający od tak dawna naprόżno do Modrzejowskiej, miał ją już w swoim ręku za granicą; on to był jej napastnikiem i cała ta powieść o zbójcach i o waleczności Modrzejowskiej była zmyśloną.

— A, to dobra bardzo wiadomość; można jej będzie użyć, ażeby oczernić Modrzejowską w oczach królewicza; można będzie zmyślić tajemne porozumienie między nią a Mondorem; bo kto wie nawet, czy tak nie jest? można będzie....

— Oj, z tem trzeba bardzo ostrożnie, bo królowa o tem mówić nawet nie pozwala, a wiesz dobrze, jak niebezpieczno niesłuchać jej rozkazów.

— Tak, ale w sekrecie może udzielać jedna drugiej tej wiadomości; możnaby nawet powiedzieć, że rzecz cała wyszła od Mondora, który się nią chełpi.

— Zapewne, pod zasłoną tajemnicy można działać, otwarcie zaś nigdy. Ale przestańmy, bo się ku nam zbliżają.

Co zawiść uknowała, to zawziętość wykonać zdołała, i w dni kilka po owej rozmowie wszyscy dworzanie potajemnie udzielali sobie wiadomości o porwaniu Maryi przez Mondora, którą każden własnemi domysłami i dodatkami zbogacał. Nie dziw zatem, że ta wiadomość do Ruszczyca doszła, i że go do stawania w obronie Maryi zmusiła.

ROZDZIAŁ XVIII.

> Jeszcze ci niewiadoma tego Włocha sztuka:
> Napełni nadziejami a w rzeczy oszuka.
>
> *Trembecki.*

Następował sejm w Grodnie, na który król wyjechał, uprzedzając wyjazd królowej, która w dni kilka za nim z resztą dworu tamże pospieszyć miała. Pewnego dnia z rana kazała przywołać wielkiego marszałka koronnego i rzekła żywo do przybyłego:

— Czy Waszmość Pan nie słyszałeś, co się dzisiaj pod moim bokiem za gwałty dzieją?

— Nie, — odpowiedział marszałek zdziwiony.

— A jednakże do WPana należy utrzymać spokojność i karcić tych wszystkich, którzy się

ważą przeciwko ustawom i uszanowaniu nam winnemu postępować.

Najjaśniejsza Pani, — rzekł spokojnie marszałek — jurysdykcya moja ustała razem z oddaleniem się J. K. M. do Grodna, gdzie obowiązki, mnie tutaj właściwe, przy Jego osobie sprawować będzie Wielki marszałek litewski.

Więc dla mnie — mówiła królowa z gorzkim uśmiechem — nie masz już ani sprawiedliwości, ani opieki, skoro się monarcha odemnie oddalił.

— Nie wiem jeszcze, jakie są rozkazy W. K. Mości — rzekł marszałek — starać się będę wypełnić je ile możność i prawa moje dozwolą.

Idzie tu o ocalenie życia człowieka, który mnie obchodzi, bo jest dworzaninem moim, a który może uledz niesprawiedliwej napaści przeciw niemu wymierzonej. Wszakże zakazane są pojedynki; jakaż jest kara na wyzywającego?

— Artykuły sądów marszałkowskich skazują wprawdzie szlachcica, wyzywającego innego szlachcica na pojedynek, na karę sześciudziesiąt grzywien i wysiedzenie pół roku w wieży......

— Nie masz żadnej wątpliwości; kiedy takie są przepisy ustaw, ja chcę ażeby były wykonane.

— N. Pani, miałem już zaszczyt oświadczyć W. K. Mości, że sądy marszałkowskie ustały razem z odjazdem królewskim, ja zatem nie mogę się już zajmować poszukiwaniem winnych. Ale jeśli W. K. Mość rozkazujesz, może ktokolwiek z przybocznej służby wojskowej poskromić zuchwalców.

Na te słowa zerwała się z miejsca królowa, spojrzała z niechęcią na marszałka i rzekła:

— Nie po taką ja radę Waszmość Pana przywołać kazałam; ale kiedy inaczej być nie może, kiedy w kilka chwil po odjeździe królewskim słudzy jego swojej mi odmawiają pomocy: inaczej sobie poradzić muszę, aby zapobiedz bezprawiom, które się pod moim bokiem dzieją.

To rzekłszy, oddaliła się do swoich pokojów i wydała rozkaz, aby dowódzca lekkiej roty, w Wilanowie straż trzymający, udał się niezwłocznie do Ujazdowskiego lasku, i nie dopuścił pojedynku, jaki się tam ma odbyć, a osoby obecne wziął na świadki, jako się czyn gwałtowny miał popełnić.

Po wydanym rozkazie, przechodząc przez pokój, w którym kilka osób dworu zgromadzonych było, spostrzegła Wotę, który z łagodnym uśmiechem, z całą postawą naprzód wydaną, z skromnie złożonemi rękoma, stał przy samych drzwiach prowadzących do pokojów królowej; bystrem okiem śledził wszelkie jej poruszenie i za zbliżeniem się nizki jej dał pokłon. Już go mijała królowa lekko mu się skłoniwszy głową, gdy się raptownie zatrzymała na samym progu drzwi, jakby zajęta pomysłem, który jej właśnie przyszedł, i Wocie za sobą iść kazała.

Gdy się to działo w wilanowskim zamku, ruszył był na rozkaz królowej rotmistrz z oddziałem dragonii dworskiej ku stolicy, w największym pędzie zbliżał się do Ujazdowskiego lasku, po którym się żołnierze rozbiedz mieli dla wynalezienia pojedynkujących się, gdy usłyszano dwa mocne wystrzały.

— Stój! — zawołał rotmistrz, zatrzymał sam konia, przysłuchiwał się dobrze, z której strony odgłos pochodzi, i po krótkiej chwili z całym pocztem szybko tam pospieszył.

Tętent koni rozlegał się po lesie i byłby ostrzegł pojedynkujących się, gdyby byli mogli zwrócić uwagę na to, co się wkoło nich działo, aby zawczasu przed śledzącymi ich ukryć się mogli. Lecz jeszcze się wił po gałęziach biały dym od dwóch wystrzałów, gdy żołnierze na miejsce boju przybyli. Ruszczyc i Mondor stali naprzeciw siebie, z równym wyrazem zawziętości na twarzach; pierwszy strzał obudwóch był chybny, i sekundanci zajmowali się właśnie nabijaniem broni do powtórnego strzału, gdy rotmistrz dragonami swymi wszystkich obecnych otoczył.

— Cóż się to znaczy? — zawołał Ruszczyc z gniewem. — Zkąd ta napaść?

— Z rozkazu królowej — odpowiedział rotmistrz — przybywam niedopuścić pojedynku i biorę was wszystkich, Mości Panowie, za świadków, jako tu był popełniony czyn prawem zakazany.

— Z rozkazu królowej? — zapytał Ruszczyc — mnie ten rozkaz nie obowiązuje, a ponieważ JPRotmistrz nie może być z ramienia marszałka zesłany, gdyż marszałkowskie sądy już ustały; nie ma przeto prawa przeszkadzać temu, ażebyśmy się z sobą w honorówym przedmiocie rozprawili.

— Być może, — rzekł na to rotmistrz — że moje wezwanie Jegomość Pana Brygadyera nie obowiązuje, ani mi w to wchodzić należy, jak dalece chce słuchać królowej Pani; lecz przeciwnik jego JP. Mondor, jako jej dworzanin, jej rozkazom posłusznym być winien, i dla tego niezwłocznie ze mną do dworu powróci.

— Ha! — zawołał Ruszczyc z urąganiem — rozumiem co się to znaczy; nakartowana to oddawna sztuka; użyto przemocy, ażeby go od mojej sprawiedliwej zemsty zasłonić.

— Idźże więc, mój Paniczu — dodał obracając się do Mondora — kiedy ci życie nad dobrą sławę droższe, korzystaj z dogodnej chwili i umykaj z placu; ale pomnij na to, że gdziekolwiek cię Ruszczyc spotka, obejdzie się z tobą jako z człowiekiem bez czci i wiary.

Na te słowa ruszył się z miejsca Mondor; ogniem pałały lica jego; najżywsze uniesienie malowało się w całej postawie; zbliżył się do rotmistrza i rzekł:

— Panie Rotmistrzu! jeżeli masz litość nademną, daruj mi jeszcze chwilę czasu, nie wypełniaj rozkazu królowej i pozwól, ażebym poskromił tę zuchwałość. Postaw się na mojem miejscu i mów: czybyś potrafił znieść obelgi dopiero co przeciwko mnie miotane? Zaklinam cię na honor, którego znasz świętość i obowiązki, dozwól, ażebym przekonał mego przeciwnika, iż mu dotrwać potrafię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISZPANKA

CZYLI

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Dokończenie.)

Więźnia poprowadzono do powozu, przy którym stali żandarm i kobiety. Miał właśnie wsiadać. Pierwszy wsiadł żandarm potem ksiądz powrócił nogę na stopniu powozu, powstało zamięszanie. Przypatrujące się kobiety zaczęły się cisnąć, chcąc się dostać zupełnie blizko; żandarmi i dozórcy starali się je powstrzymać. Wtem ktoś dotknął płaszcza, który ksiądz miał zwieszony na ramionach, i zrzucił mu go na ziemię. Kilku żandarmów i dozórców schyliło się, aby go podnieść. Przez to powstało nowe zamięszanie. Także i jednej kobiecie, która stała bezpośrednio przy delikwencie, upadł płaszcz. Płaszcz ten w jednem oka mgnieniu zaraz podniesiono, i znów jak przedtem wisiał na ramionach, a kaptur zakrywał znowu twarz i głowę. Ale czy na tych samych wisiał ramionach, czy tę samę pokrywał głowę, tę samę twarz? Dama w płaszczu stała przedtem po prawej stronie więźnia, teraz była po lewej. W ciemności

wszystko tak szybko się odbyło, że nikt tego nie spostrzegł; zresztą byli wszyscy zajęci podawaniem płaszcza duchownemu. Była jednak jedna osoba, która coś zauważyła; był to żandarm. Przyskoczył on żywo do delinkwenta.

— Dalej, wsiadać! — krzyknął na niego i porwawszy za ramię, wepchnął go do powozu. Ksiądz już się był w nim usadowił.

Drugi żandarm wsiadł do tegoż powozu naprzeciwko duchownego i więźnia; poczem powóz zamknięto.

Żandarm stojący na straży przy powozie zwrócił się do damy w czarnym płaszczu i zapytał jej:

Czy pani należysz do mieszkańców więzienia?

— Przybyłam z ciekawości.

— Musisz się Pani oddalić w ten moment, bo tutaj żadnych wizyt się nie cierpi.

Powóz wolnym krokiem ruszył ku bramie; żandarmi i dozórcy szli obok niego. Tylko jeden ze żandarmów został i przystąpił do damy.

— Tutaj, Pani — zawołał, i czekał tak długo, aż za bramę nie wyszła.

Tymczasem prokurator królewski i dyrektor więzienia wsiedli do drugiego powozu, który ruszył w ślad za pierwszym. Teraz za obydwoma puścił się w drogę i żandarm.

Czy też żandarm ten wiedział, kogo wypuścił za bramę więzienia?

ROZDZIAŁ VII.

Egzekucya.

Obydwa powozy toczyły się po moście. Jechały one na wolny plac, na wzgórze, gdzie było ustawione rusztowanie. Żołnierze bronili publiczności przystępu do mostu. Za to zaraz za mostem tysiące ludzi było zgromadzonych, zgromadzonych na to, aby przyjrzeć się widowisku, które jest poniżeniem ludzkości. Każdy wiek, płeć i stan były tam przedstawione w okazaniu tej dzikiej, nienaturalnej żądzy oglądania krwi ludzkiej.

Żołnierze stojący na moście otoczyli powozy i przy nich maszerowali. Tłumy ludu postępowały naprzód, po bokach i w tyle. Milczały one jeszcze, bo dopiero widok krwi wywołuje w ludziach objawy zwierzęcości.

Około rusztowania wszystko się zatrzymało.

Przez chmury przecisnął się już był promień wschodzącej jutrzenki, z początku bardzo słaby, tak że ledwo można było rozróżniać postacie. Kompania piechoty otaczała naokoło rusztowanie. Za wojskiem stali żandarmi na koniach. Wewnątrz koła znajdowało się tylko kilkoro ludzi, i to przed wschodami, które prowadziły na szafot. Stał tam i stół. Przy stole siedziały dwie osoby: sędzia i pisarz. Sługa sądowy stał za nimi. Przy nich ukazała się wysoka postać w obszernym, niebieskim płaszczu: był to kat. Kilku żandarmów stało na boku. U góry na rusztowaniu znajdowało się czterech ludzi w szarych płóciennych kurtkach; byli to pomocnicy kata. Wszyscy czekali na więźnia, co miał być traconym: na delinkwenta jak go nazywał język urzędowy, na biednego grzesznika, jak nazywał go lud. Zupełnie blizko koła bezpośrednio przy żołnierzach, cisnęli się widzowie. I oni czekali na biednego grzesznika, ale zupełnie w innym celu. Wszystkich gnała zwyczajna ciekawość; byli między nimi jednak i tacy, co prócz ciekawości inne mieli zamiary. Tam gdzie powóz z delinkwentem zajeżdża i zatrzymuje się, gdzie skazaniec wysiada i przystępuje do sądowego stołu, aby raz jeszcze usłyszeć wyrok śmierci, a potem oddanym bywa katowi; tam gdzie z tego powodu żołnierze w podwójnym stoją ustawieni rzędzie; — tam się największy tłum widzów zgromadził i najróżnorodniejszy. Stali tam dostojni panowie i eleganckie damy, ale te grubemi welonami zakryte, aby ich nikt nie poznał. Przynajmniej w tem jednym okazywały cokolwiek lepszego uczucia. Niezasłonięte niewieście twarze dawały się widzieć tuż obok: należały one do niższych i najniższych warstw społeczeństwa. Pomiędzy niemi były i blade twarze, wynędzniałe, a przy ich boku chore twarze dzieci. Obdarte uliczniki wyszydzały dostojnych panów i patrzały z trwożliwą litością na owe blade kobiety i dzieci. Wszak to byli ich równi? Chłopcy dobrze o tem wiedzieli, że ich tu prócz ciekawości jeszcze pewien

sprowadził interes i z tego względu też litościwem okiem na nie spoglądali. Biedne kobiety z choremi dziećmi trzymały w ręku białe jak śnieg, płócienne chustki. Takie chustki, umaczane w świeżej, kipiącej jeszcze krwi dopiero co ściętego człowieka, przywracają zdrowie, podług mniemania ludu. Nawet dotknięcie się biednego grzesznika, który stoi pod rusztowaniem, może, jak mówią, uzdrowić. Wierząc w ten smutny zabobon, wyczekiwały one z blademi twarzami i cisnęły się do tego miejsca, gdzie skazaniec miał wysiąść.

Widzowie byli dotąd jeszcze spokojni, ale znudzeni długiem czekaniem zaczęli się niepokoić. Pospólstwo wyrażało swą niecierpliwość przez płaskie dowcipy; dostojni zaś panowie bawili się rozmową.

— Jednak doznaję pewnej obawy, baronie — rzekła jedna z zawoalowanych dam do mężczyzny, który stał obok niej.

— Trzeba na wszystko mieć odwagę, łaskawa pani — odpowiedział zarozumiale mężczyzna. Była to wysoka postać z długim nosem i przemądrzałą, wszystkowiedzącą twarzą.

— Ach, baronie! — odezwała się inna dama, — pan widziałeś wszystko.

— Przynajmniej bardzo dużo.

— Czy widziałeś też pan już, jak kogo tracą?

— Często, moja pani.

— Niech pan będzie łaskaw nam to opisać.

— Jest to bardzo rozmaicie, moje damy; stósownie do różnych rodzajów śmierci i do praw, jakie gdzie obowięzują.

— Jak to będzie dzisiaj?

— Tutaj w królestwie hiszpańskiem panuje systemat mięszany. Częścią zatrzymano stare prawo, częścią dodano nowe. Żeby to paniom uczynić zrozumiałą, będę miał honor opisać wam z wszelkiemi szczegółami postępowanie, jakie dzisiaj się odbędzie.

— Prosimy bardzo, kochany baronie!

— Delinkwenta przywiozą w powozie. Podług starego prawa, powinni by go przywlec na krowiej skórze.

— A pfe, baronie!

— Nowe humanitarne prawo zniosło ten zwyczaj. Powóz się zatrzyma zupełnie blizko nas, tuż zaraz za łańcuchem żołnierzy.

— O baronie! dopomóż nam, abyśmy tego miejsca nie straciły.

— Liczcie na mnie moje damy. Skazany wysiądzie tam. Sędzia, którego przed sobą widzimy, przeczyta mu jeszcze raz głośno wyrok śmierci. Potem oddadzą go katowi.

— Na twoję już raz na zawsze wykonaną przysięgę — mówi stara formuła, — rozkazuję ci, żebyś wyrok powyższy wiernie wykonał.

Kat wchodzi potem po wschodach na rusztowanie. Skazanego prowadzą za nim dwaj jego pomocnicy. Skoro ten stanie na rusztowaniu, kat zrzuca płaszcz i okazuje się w czarnym fraku, z toporem w ręku. Trzyma go u góry za trzonek i na nim się podpiera. Tuż obok stoi pieniek do ścinania, mający odpowiednie wcięcia. Pomocnicy kata prowadzą delinkwenta do tego pieńka i wiążą mu ręce. Potem kładą go nań twarzą na dół, a przywiązawszy do niego, odchodzą. Teraz kat do niego przystępuje. Naokoło cisza śmierci. Tysiące ludzi przygląda się w niemem milczeniu. Kat podnosi topór do góry, próbuje palcami, czy dosyć ostry; bierze go potem w obie ręce i silnym zamachem uderzy. Zabłyśnie coś szybko w powietrzu, — słychać uderzenie, — i krew wysoko wytryśnie.

— Ale cóż, to pani nie dobrze?

— To nic, już przeszło.

— Głowa odłączyła się od kadłuba i upada przed pieniek. Jeden z pomocników kata pochyla się i podnosi ją. Ale na prawdę, łaskawczyni moja, pani drży, a pod jej woalem widzę...

— Nic, nic baronie.

Prosimy, kochany baronie, opowiadaj pan dalej.

— Żałuję bardzo, moje panie, ale powóz już nadchodzi.

Rozmowę trzeba było przerwać. Dwa powozy od strony więzienia przejechały przez środek zgromadzonego ludu. W pierwszym siedział królewski prokurator i dyrektor więzienia; w drugim skazaniec ze swem otoczeniem. Na placu minął pierwszy i drugi. Tłumy przepuściły obydwa powozy w milczeniu. Pierwszy jechał szybko; koło żołnierzy rozstąpiło się, wpuściło go w środek i zamknęło się znowu. Prokurator i dyrektor więzienia wysiedli i przybliżyli się do stołu. Drugi powóz postępował wolno. Wpuszczono go także w środek wojska i koło się również za nim zamknęło. Najprzód wyskoczył

z powozu jeden z żandarmów; za nim ksiądz, potem delinkwent, który się lekko spuścił na ziemię. Stał prosto w ubiorze hańbiącym z szarego płótna, włosy krótko mając ostrzyżone, twarz bladą.

Żandarm uchwycił skazańca za rękę i wskazał mu miejsce przed stołem sądowym, gdzie miał wyroku śmierci wysłuchać. Kat i jego pomocnicy nie mieli jeszcze nad nim władzy.

Tłum stojący za żołnierzami pchał się coraz gwałtowniej, nawet dostojni panowie i panie; wszyscy bowiem chcieli słyszeć wyrok, wyrok przeciw Hiszpanowi, który podług mniemania sprawiedliwości zdradził Ojczyznę, ponieważ ją chciał wybawić z jarzma Francuzów. Ci, co tego wyroku słuchać chcieli i jego wykonaniu się przypatrzeć: byli wszyscy Hiszpanami; żeby jednak własnego współrodaka starać się uwolnić, o tem nikomu na myśl nie przyszło.

Sędzia siedzący przy stole podniósł się. Pisarz sądowy wziął wyrok w drżące ręce i chciał zacząć czytać. W tem w bezpośredniem otoczeniu powstał jakiś niepokój. Jeden z żandarmów spojrzał na obżałowanego, spojrzał też i na dozórcę więziennego. Dozórca rzucił okiem na więźnia, poczem znaczące wejrzenie posłał dyrektorowi więzienia. Te wszystkie spojrzenia nie uszły baczności prokuratora królewskiego. I ten więc utkwił wzrok swój w delinkwenta.

— Hola! — zawołał na pisarza sądowego, chcącego rozpocząć czytanie — hola, zaczekaj pan! — to nie jest ten co ma być traconym.

Gęste chmury na niebie rozeszły się; wschodzące słońce rozproszyło je. Pierwsze z za gór wydobywające się jasne promienie oświeciły plac, rusztowanie i zgromadzone tłumy; oblały złotem światłem i skazańca, który dwie minuty później nie miał już należeć do liczby żyjących; oświecał szare jego aresztanckie, ubranie gładko, ostrzyżoną głowę i bladą twarz. Ale na tej bladej twarzy jaśniał najszlachetniejszy wyraz najświętszego tryumfu, radości i szczęścia.

— Nie! — wystąpiła dumnie hrabina Gonzales — nie jestem ja tym, co ma być traconym; lecz jestem jego żona, która mu uratowała życie. Teraz róbcie ze mną co wam się podoba!!!...

Siły jej wskutek wielkiego wzruszenia zupełnie się były wyczerpały; zemdlała, upadła bezwładnie na ręce kata. Ten jedyny nie stracił przytomności i podniósł upadającą; a tak, chociaż nie mógł wykonać prawa swego w całości, przynajmniej część jego dostała mu się w udziale. Zaniósł zemdlałą do powozu, z którego niedawno była wysiadła i oddał ją pod opiekę księdzu, który ją znów odwiózł do więzienia.

O, nigdy pewnie tłum nie rozchodził się z placu egzekucyi spokojniejszy i więcej zadowolniony, jak tą razą!

Wojsko i żandarmi na wszystkie strony się rozbiegli, aby szukać zbiega; ale ten z pomocą wiernego strzelca już dawno był dojechał do poblizkich lasów, co go ocaliło. Drugiego dnia połączyli się z dziećmi, a dzielną swą małżonkę dopiero w trzy miesiące później zdołał uściskać na statku angielskim. Prokurator królestwa hiszpańskiego wytoczył jej proces o zdradę stanu; sądy królewskie proces ten prowadziły; król hiszpański sam nie troszczył się o niego wcale, bo miał inne — ważniejsze sprawy na głowie. Na szczęście dowiedział się przypadkowo o całej tej sprawie cesarz francuzki. Kobiety, która zasługiwała na koronę bohaterską, nie chciał karać śmiercią, i kazał ją uwolnić. Był to Napoleon Iszy.

W trzy lata później zostali Francuzi z hiszpańskich granic wypędzeni, i przyszły straszne dni odwetu, ale nie dla wszystkich. Dla tych podłych i nikczemnych, co służyli nieprzyjaciołom Ojczyzny, z pewnością one nie przyszły, bo tego rodzaju ludzie dadzą się użyć od wszystkich i do wszystkiego, a na nieszczęście znajdą się zawsze, tacy, którzy ich użyć potrafią.

Hrabia Gonzales walczył w wojnie narodowej roku 1810 przeciw Francuzom, i wrócił z niej sławą okryty szczęśliwie do domu. Małżonka jego, żona na śmierć skazanego, wielu rannych i chorych w bitwach poranionych Francuzów pielęgnowała, a dzieci swe uczyła, żeby nigdy nie odmawiały współczucia i pomocy biednym i uciśnionym, żeby w najkrytyczniejszych chwilach życia nie traciły nigdy odwagi, honor i godność własną ceniły nadewszystko, a swej Ojczyźnie wiernymi zawsze pozostały dziećmi i w każdej jej potrzebie ostatnią kroplę krwi wylać dla niej gotowe.

Ażebyście i wy wszyscy, którzy to czytać będziecie, stali się takimi, w tym celu odgrzebałem starą tę historyą z pyłu zapomnienia.

(Koniec.)

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIESLI

podanie indyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Tuliza była zupełnie rozbudzoną i nie straciła ani jednego wyrazu. Jakkolwiek niebezpieczeństwa towarzyszące przedsięwzięciu wydawały się wielkiemi, nie byłaby się wahała spróbować wszelkich usiłowań, gdyby tylko była mogła się zdobyć na odwagę pozostawienia rodziców bez środków do życia. Kiedy atoli podniosła swoją wiązkę drzewa, znalazła kilka sztuk złota, które, jak słusznie się domyślała, złożyła tam przyjacielska wiewiórka. Złoto oddała więc matce i poczyniła niezbędne przygotowania do podróży. Szła przez czas dość długi nie spotykając żadnego zjawiska i bez żadnej przygody. Nareszcie po wielu dniach doszła do brzegu rzeki szerokiej i bardzo głębokiej. Na falach tu i owdzie widać było łby szaro-czarniawych wężów, jak gdyby ostrzegających, że gotowe na przyjęcie śmiałka. Tuliza zaopatrzyła się w kilka dzbanków glinianych; na nich przytwierdziła pęki długiej trzciny, przeplotła je wiciami i nakryła wszystko wysoką trawą. Kilka wiewiórek przyglądało się jej pracy, a gdy tratwa została ukończoną i pływała na wodzie, dźwigana przez puste dzbanki, dwie czy trzy wskoczyły na nią wesoło, nie obawiając się rozwartych paszcz i żądeł. Dodało to odwagi Tulizie, powierzyła się falom i bezpiecznie dostała się na brzeg przeciwny bez wielkich trudów. Wiewiórki wyskoczyły także na ziemię i na wielką jej radość zdawały się okazywać zamiar dotrzymania jej towarzystwa. Budowała też na tem nadzieję, że jej dopomogą do odszukania gniazda „humy". Wkrótce potem spotkała po drodze pszczołę, co ją mocno uradowało, bo te owady zawsze dobrą przynoszą wróżbę. Nagle usłyszała uroczą muzykę; wiewiórki pobiegły radośnie w stronę, zkąd brzmiały tony. Tuliza poszła za niemi w jakiś parów i ujrzała przed sobą śliczne drzewo o liściach błyszczących jak szmaragdy. Ptaki „huma" śpiewając nieustannie, zajęte były budowaniem gniazda, a gdyby myśli Tulizy nie bujały gdzie indziej, byłaby z pewnością podziwiała połysk ich piór złocących się w blasku słonecznym. Po kilku dniach samica zniosła pierwsze jajko, a oba ptaki tak zdawały się być szczęśliwymi w ich życiu rodzinnem, że Tuliza dopiero w kilka dni później ośmieliła się zrabować część ich skarbów. Piątego dnia właśnie, kiedy już gniazdo całkiem było napełnione, wyjęła jedno jajko, złożyła na piersi i nakryła swoją zasłoną. Potem puściła się w dalszą podróż, a drogą jej kierowały wiewiórki, skaczące przed nią z drzewa na drzewo.

W taki sposób stanęła wkrótce pod murami pięknego zamku. Zebrawszy się już stanowczo na odwagę zapukała, chociaż ze drżeniem, do bramy i oświadczyła, że chce być przyjętą do służby królowej. Wprowadzono ją do przepysznej komnaty, gdzie zobaczyła największą swą nieprzyjaciółkę, rozciągniętą na miękkich poduszkach, mającą węża zielonego na szyi. Jakkolwiek królowa wyglądała jeszcze dość młodo i była bardzo piękną, jednakże w jej postaci było coś odrażającego; oczy jej iskrzyły się jak oczy węża a długie włosy układały się zupełnie w sploty wężowe. Jakże jej powierzchowność różniła się od postaci Basnak-Daua! Tuliza przekonała się że pomiędzy duchami również złe lub dobre skłonności i usposobienia odbijają się wyraźnie na twarzy. Królowa, zmierzywszy ją surowym wzrokiem od stóp do głów, rzekła że nie pozwala nikomu wejść do swej służby, niedoświadczywszy przed tem jego przymiotów. Jeżeli obawia się odpowiedzialności, może odejść spokojnie; ale jeżeli chce koniecznie wykonać rozkazów królowej, to niech nie spodziewa się względności i przebaczenia za żadne uchy-

bienie, a przy pierwszem nieudaniu się czeka ją śmierć żałosna.

Tuliza nie przewidywała czego od niej zażądają; wszakże postanowiła przebyć próbę. Dano jej wtedy naczynie krzystałowe w ręce, zaprowadzono na jakieś podwórze wybrukowane i otoczone wysokim murem i polecono: zebrać w naczynie woń tysiąca kwiatów. W około nie było widać ani jednego drzewa ani jednego krzaka, ani jednej nawet trawki, i Tuliza byłaby bez wątpienia wpadła w rozpacz gdyby nie była zaufała przyjaźni wiewiórek, chociaż te stworzenia nie ukazały jej się wcale od chwili, gdy weszła do pałacu. I teraz napróżno szukała ich w około, gdy znienaczka niezliczony tłum pszczół zjawił się z za murów. Każda pszczoła dźwigała woreczek z wonią jakiegoś kwiatu i przelatując wrzucała go do naczynia Tulizy. Zapach był tak silny i tak cudny, że napełnił całe powietrze a Tuliza zewsząd usłyszała okrzyki uwielbienia. Wkrótce otworzono drzwi od podwórza a Tuliza postawiła krzyształowe naczynie u stóp królowej, której ostre rysy nabrały łagodniejszego wyrazu, skoro tylko odetchnęła wonią rozchodzącą się z czary.

(Dokończenie nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Kazimierz cieszył się, że pryncypał ku niemu takie powziął zaufanie i przywiązanie. Często, kiedy się pan Sztolce zagadał z Kazimierzem do późna, przychodziły, jak do dobrego znajomego, żona jego z Wilhelminą po ojca, zabierając go z sobą na wieczerzą, a zwykle przy tej sposobności stary Sztolce brał Kazimierza pod rękę i prowadził do siebie.

Dziwnem wydawało się Kazimierzowi to jego położenie. Nie miał wiele pociągu do tej rodziny, obcej mu narodowoscią, językiem, religią i obyczajami, a przecież czuł dla niej pewien rodzaj wdzięczności za to zaufanie nieograniczone, jakie w nim pokładała, za uprzejmość, z jaką go przyjęli do domu swego i grzecznościami wszelkiemi obsypywali, a szczególnie za to, że mając u nich utrzymanie swe zapewnione całym zarobkiem, całą prawie płacą, jaką pobierał, mógł wspomagać podupadających rodziców.

A rodzice byli w bardzo, bardzo wielkiej potrzebie! Jakiś ciężki los zawisł nad ich domem

od czasu jak się Kazimierz z niego oddalił. Rok po roku jakieś klęski w gospodarstwie, to nieurodzaj, to grad, to powódź niszczyły prawie ich sprzęt. Choroby żony, samego Stefana i dzieci, długie i uciążliwe, niszczyły ostatki zasobów. Przyszło nawet do tego, że trzeba było pozbyć się niektórych rzeczy i sprzętów zbytkowych, aby życie i zdrowie ratować. Tym sposobem jedna strata pociągała za sobą drugą, tak że kto przed kilku laty widział i znał gospodarstwo Stefanów, teraz aniby poznał, że to byli kiedyś ludzie zamożni.

Stefan jednakże nie szemrał i nie narzekał na swoję dolą; upadał pod pracą, ale wszystko cierpliwie znosił; a kiedy czasem żona jego Zofia utyskiwała na nieszczęście, on wyjmował wtedy listy Kazimierza i pokazując i mówił:

— Oto ten mi za wszysko złe nagrodą. Bóg nas w nim pobłogosławił. Kto ma takiego syna, ten nieszczęścia ziemskiego nie czuje. Patrz! moja Zosiu, na mnie; wracam od ciężkiej a może znowu daremnej pracy, —- sąsiedzi dziwią się, że na moje stare lata tyle i tak mozolnie mogę pracować. Nie wiedzą oni, co mi w tej pracy sił dodaje, co wytrwałości. Oto myśl o naszym kochanym Kazimierzu. Pracą bez narzekania i szemrania dziękuję Bogu za to szczęście, iż tak dobrego dał nam syna.

XIII.

Ciężkie Próby

Kazimierz już drugi rok przebywał u pana Sztolcego pełniąc swoje obowiązki z zupełnem zadowoleniem pryncypała. Zaznajomił się był tymczasem z niektórymi kupcami, którzy bywali u państwa Sztolców. A bywało tam odwiedzin nie mało. Zasilając nieomal wszystkie główniejsze składy mebli swemi wyrobami, pan Sztolce starał się usilnie o to, aby z odbiorcami swoimi w dobrych ciągle być stosunkach. Bywał więc często u nich z żoną i córką, i wzajem do siebie ich zapraszał. Przychodziło też do jego domu niemal co wieczora, mianowicie zimową porą, wiele osób starych i młodych, więcej i mniej zamożnych, bawiących się i zaproszonych dla bawienia innych, trefnisiów, artystów, muzyków i t. p.

Jednych ciągnął interes, drugich potrawy i napoje wielu oczy dziewiętnastoletniej panny Wilhelminy. Urodna rozumna, czuła i posażna, była przedmiotem starań niejednego z młodzieży berlińskiej; — ale rzecz dziwna, — córka kapitalisty, fabrykanta, wolała poufną rozmowę z zagranicznym przybyszem przy wieczornej herbacie, niż te świetne wieczory gromadzące naokoło niej wszystko, co klasa przemysłowa berlińska miała najwytworniejszego z młodzieży.

Mówiono nawet cichaczem, że Panna Wilchelmina uczyła się po polsku. Gniewał się na to jej dziwactwo pan Kurcer, najstarszy z zalotników panny Wilhelminy, gniewali się i inni, ale wierni narodowej zasadzie, postanowili czekać wytrwale i obsypywać pannę Wilhelminę coraz to nowemi oznakami swego przywiązania. Matka jedynaczki, gotowa każde jej wykonać zechcenie, odgadła od razu, w którą stronę skierowały się uczucia dziewczyny; sama też przyznać musiała, że liczne zalety Kazimierza, jego skromność, rzetelność, pracowitość, rozum, uroda, słusznie mu w sercu córki pierwszeństwo dawały przed całym tłumem eleganckich próżniaków; nie taiła wszakże sobie i tego, że wszystkie kroki, jakieby czynić mogła celem urzeczywistnienia marzeń swej córki, udaremni opór ojca, którego bożyszczem był majątek. Niebaczna! nie przypuszczała wcale, żeby i Kazimierz sam mógł odrzucić te związki! Rozmowa, jaką w tym względzie miała z Wilhelminą, gdy jej wymawiała obojętność dla pana Kurcera, przekonała ją o cichem, lecz żywem i głębokiem przywiązaniu, jakie ta powzięła ku cudzoziemcowi.

— Rób matko, co chcesz odrzekła w końcu córka — ale póki pan Kazimierz bawi w naszym domu, niepodobna mi dla innych z młodzieży być więcej jak grzeczną. Oddalcie go z domu, — nie pójdę za nim, — ale szczęście mego życia będzie straconem.

— Ależ moja droga — zagadnęła ją matka, — czyż wiesz z pewnością, że on choć myśli o tobie? Czy może nie związany już dawno innemi ślubami, a ty łudzisz się nadzie-

jami, które może wcale spełnić się nie mogą?

— Bądź co bądź — odrzekła na to córka, — czy się dowie o mojej miłości lub nie, czy mnie odrzuci lub przyjmie, miłość moja tylko dla niego.

Po tej rozmowie, jeszcze tego samego dnia państwo Sztolcowie mieli jakąś długą ze sobą naradę. Pan gniewał się i zżymał, — pani płakała, — w końcu mówili z sobą coś z cicha, — on grożąc podniósł palec do góry, — ona spokojniejsza opuściła męża, by odejść do córki.

Biedny Kazimierz, zajęty, pracą w zakładzie, wykonywaniem nowych pomysłów, myślał o domu, rodzinie, Ojczyznie; ani wiedział co się w jego blizkości działo; ani się domyślał, że spokój rodziny, która dla niego okazywała przywiązanie prawie rodzicielskie, niewinnie zamącił. Mimo częstego obcowania z panną Wilhelminą, nie mając żadnych względem niej zamiarów, nie przypuszczał wcale, żeby mimowoli taką mógł w niej wzbudzić ku sobie przychylność. Owszem, chętnie widział, gdy najbogatsza młodzież berlińska ubiegała się o jej rękę, a pytany często o zalety Wilhelminy, otwarcie oddawał jej największe pochwały. Lubiła go za to cała młodzież i zapraszała do siebie.

Jednakże rzadko i tylko z grzeczności u tych nowych znajomych bywał, i to kiedy już koniecznie odwiedzić ich musiał, aby ich nie obrazić na siebie.

Najchętniej za to przesiadywał u księdza Marka, bo tam była swoboda, bo tam znajdował coś, co mu przypominało Ojczyznę. — Aż razu jednego został zaproszony do pana Sztolcego.

Poszedł zaraz do niego.

— Prosiłem pana do siebie — zagadnął go pan Sztolce, — żeby mu zrobić pewną propozycyą. Z naszego obchodzenia się z panem pewnie wyrozumiałeś, że cię wysoko cenimy, bo też godzien jesteś naszego szacunku. Odkąd pan moim zakładem kierujesz, muszę ci wyznać, że moje stosunki kupieckie o wiele się polepszyły, dochód mój w trójnasób się powiększył, sława i dobre imię się podniosły. Słowem... bardzo jestem panu zobowiązany. Dla tego widząc, że pan masz zawsze moję korzyść na względzie i spodziewając się, że i nadal zaufania mego zawodzić nie będziesz, — chciałbym się uwolnić od pracy, — i w tym celu robię panu propozycyą, czybyś nie przyjął u mnie posady pełnomocnika nieograniczonego z pensyą 600 talarów, z wolnem pomieszkaniem i wspólnym z nami stołem? Czy zgadzasz się pan na to?

— Nie wiem, — odrzekł Kazimierz, — czyli zasłużyłem sobie na tyle zaufania, bo nie uczyniłem nic więcej, jak tylko co mi sumienie nakazywało. Starać się jednak będę i nadal sobie zachować pozyskane zaufanie Pańskie! Przyjmuję propozycyą, a nawet dziękuję panu za nię z głębi serca, bo mię stawia w możności lepszego dopomagania kochanym rodzicom.

— Otwarcie panu wyznaję, że moi rodzice, przed kilku laty zamożni, teraz przez różne okoliczności podupadli, nawet zubożeli. Moją powinnością jest dopomagać im, tak jak oni przedtem mi dopomagali. Pan zapewniając mi u siebie tak świetne stanowisko przyczyniasz się najwięcej do tego, żebym mógł wypłacać się rodzicom z długu wdzięczności. Dla tego jeszcze raz czule panu za to dziękuję i przyrzekam, że nie będę szczędził sił, ani starania w prowadzeniu interesów pańskiego zakładu.

I skończyła się rozmowa. Już młodzieniec był u drzwi kiedy pan Sztolce dorzucił:

— A bądźże, panie Kazimierzu cokolwiek uważniejszym na moje kobiety, bo masz w nich dobrych adwokatów.

Uradowany Kazimierz powrócił do swego mieszkania i w największej radości napisał list do rodziców, opisując im rzecz całą; pocieszał ich i zapewniał o swojej dozgonnej wdzięczności.

Nazajutrz zajął nowe, obszerniejsze pomieszkanie w tym samym domu, i rozpoczął swój nowy urząd. Położenie jego stało się teraz więcej niezawisłem; jego znaczna pensya, względy, jakich doznawać teraz zaczął od samego pana Sztolcego i od jego rodziny, stosunki, w które jako pełnomocnik z innemi domami kupieckiemi wchodził, wszystko to podnosiło Kazimierza w oczach jego znajomych. On zaś nie wiele na to wszystko zważał, a najwięcej się tylko tem cieszył, że rodzicom będzie mógł więcej niż dotychczas dopomagać, bo wszędzie nie własny interes, ale jako dobry syn, rodziców dobro i pociechę miał na oku. I w rzeczy samej, po pół roku mógł im już posłać na zakupienie dwóch par wołów, dosyć znaczną sumkę pieniędzy,

a dnia tego, w którym je odesłał, był tak wesołym, jakby go nie wiedzieć jakie szczęście było spotkało.

Zresztą pomimo tak pięknego położenia na zewnątrz wcale Kazimierz sam w sobie się nie zmienił. Zwyczajów polskich nie zaniedbywał, do kościoła świętej Jadwigi uczęszczał, polskie książki czytywał. Jedynie tylko co do stroju tyle się odmienił, że nie chcąc zwracać na siebie uwagi publicznej, kiedy gdzie wychodził z domu, nosił się tak jak w Berlinie powszechnie się noszono; lecz w domu państwa Sztolców, u siebie w kantorze i w zakładzie chodził zawsze w stroju narodowym: w czamarze z pętlicami, żupaniku i w pasie ze srebrną sprzączką.

Ale jednego razu przyszedł pan Sztolce wieczorem do niego, siadł sobie, jak to zwykle czynił, na kanapie, i rozmawiał o jakichś obojętnych rzeczach; dopiero zabierając się do wyjścia, zwrócił się do Kazimierza, i biorąc go za pętlicę jego czamary rzekł:

— Miałem panu zwrócić uwagę na to, że ludzie, którzy ze mną w ważnych stoją stosunkach pieniężnych, ludzie, którzy prawie co dzień odwiedzają mój sklep i wchodzą do mego kantoru, mówili mi, że dziwną im się wydaje, iż pan, mój pełnomocnik, przyjmujesz ich tam w stroju jakimś rażącym i obcym.

— Jak to — zawołał Kazimierz — wszak to nie obcy strój, ale mój strój narodowy polski!

— No — widzisz pan, — odrzekł pan Sztolce, — w Polsce inaczej, a w Berlinie też inaczej. Zresztą gdybyś pan obstawał przy swojem, to kupujący możeby się zrazili. Pan wiesz, że różni są ludzie. Przecież pan masz rozum! Czy ubiór stanowi człowieka? Uczyń pan to dla mnie i dla siebie, bo nie mógłbym się na to zgodzić, aby z tego wynikł jaki uszczerbek dla mego zakładu. Zresztą miłoby nam było i mnie i mojej żonie gdybyś się pan cokolwiek więcej zastósował do naszych obyczajów. — Dobranoc Panu!

To powiedziawszy odszedł. — Kazimierz stał jakby gromem rażony; łzy puściły mu się z oczu, sam nie wiedział, co mu się stało. Zatrzymać swój ubiór, znaczyłoby tyle, co chcieć utracić miejsce, a tem samem i możność wspomagania rodziców: złożyć zaś strój narodowy.... ach! jakże mu to było bolesnem.

I siadł — i dumał — i myślał długo; potem zabrał się nagle i poszedł do księdza Marka na naradę. W godzinę może powrócił blady i widocznie wzruszony, a stanąwszy w środku pokoju zawołał:

— Dla ciebie to, ojcze i matko, uczynię tę ofiarę!

I zaczął składać z siebie polskie szaty, a ściągnąwszy je, wyczyścił czamarę, wyczyścił żupan i pas ze srebrną sprzączką, a poskładawszy je schował do komody. Wyjął potem kamizelkę i surdut, wdział na się, spojrzał w zwierciadło i smutno pokiwał głową.

Nazajutrz siedział Kazimierz przebrany podług życzenia swego pryncypała w kantorze i pracował; w tem wszedł pan Sztolce, a spostrzegłszy zmianę w jego ubiorze rzekł:

— Jak panu do twarzy, aż miło popatrzeć!

Skrzywił się Kazimierz na te słowa i milczał.

Pan Sztolce zaś dodał:

— Przyszedłem prosić pana dziś po obiedzie z nami na przechadzkę, a potem na wieczór. Będzie u nas wiele osób. Zobaczysz pan sam, że korzystniej jest dla pana nosić się po naszemu i stósować się do całego świata ucywilizowanego. Córka moja, która mówi, że panu tak pięknie było w polskim stroju, bardzo ciekawa zobaczyć go w naszym; boi się, abyś pan na tem nie stracił.

— No, no... trzeba się powoli przyzwyczajać i zabierać do naszego świata. Zresztą będą dziś u mnie osoby dystyngowane, z któremi postanowiliśmy zrobić małą wycieczkę za miasto; trzeba się wystroić. Ja, jakem był tak młody jak pan, to nie żałowałem na krawca i szewca, i wszędzie też miałem szczęście; moję teraźniejszą żonę zdobyć mi pomogli krawiec i szewc. Ho ho! krawiec i szewc, to są często wielcy ludzie, nie raz dopomagają nam do dopięcia naszych celów;... ja wiem, że i pan to rozumiesz, tylko jesteś zbyt skromny i... nota bene w tym punkcie zbyt oszczędny. Tak, tak, kochany Panie Berdysz, krawiec i szewc... to grunt!

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W zatoce Narrangaset w Connecticut, odegrała się w czerwcu 1772 następująca scena. Dowódzca angielskiego statku Gaspé zażądał, aby żeglarze amerykańscy zniżali flagi swych statków, gdy się zbliżali do jego okrętu. Gdy za nieposłuszeństwo ścigał pewien okręt a ten się rozbił, przybyło w nocy na 9 czerwca 64 zamaskowanych ludzi na jego statek, który spalili, zabrawszy wprzód załogę tego okrętu. Pomimo wyznaczenia znacznej nagrody za schwycenie ludzi tych, których w Providence dobrze znano, nie zdradził ich nikt.

Powiedzieliśmy powyżej, że na herbatę było nałożone cło. Okręty, które przybyły z herbatą do New Yorku, Philadelphii i Charleston zostały zmuszone wrócić się do Anglii, gdyż nikt nie chciał jej kupować. W Boston zaś, gdzie gubernator i jego przyjaciele mieli interes w herbacie, wyładowano kilka okrętów pomimo opinii publicznej. W nocy na 13 grudnia 1773 zebrało się około 60 ludzi, z których wielu się przebrało w stroje indyańskie, napadło na dwa okręty naładowane herbatą i wrzuciło 342 pudła znienawidzonego tego towaru do morza.

Podczas gdy wszystkie kolonie sympatyzowały z mieszkańcami Bostonu, postanowił rząd angielski zemścić się za zniewagę mu wyrządzoną. W d. 7 marca 1774 uchwalił parlament prawo, na mocy którego port bostoński został zamknięty dla całego handlu a bióro cła, sąd i inne bióra urzędowe zostały przeniesioue do Salem. Mieszkańcy tego miasta zaś nie chcieli skorzystać z przywilejów im nadanych. W dniu 28 marca tego roku uchwalono w parlamencie inne prawo, ujmujące kolonistom w Massachusetts wszystkie przywileje, których do tychczas używali. Wiele innych tym podobnych praw zostało także w tym samym czasie uchwalonych.

Dla ich przeprowadzenia posłano do Bostonu jen. Gage z znacznym oddziałem wojska. Każdy zrozumie, że to bynajmniej się nie przyczyniło do uspokojenia już tak rozjątrzonych umysłów.

Aby się wspólnie naradzić, co pod takiemi warunkami uczynić wypada, zwołano zastępców wszystkich kolonij do Philadelphii, gdzie się rozpoczął w dniu 5 września 1774 r. pierwszy kontynentalny kongres. Wszystkie kolonie z wyjątkiem Georgii wysłały swych delegatów. Przewodniczącym został wybrany Peyton Randolph z Virginii, sekretarzem Charles Thompson z Pennsylvanii. Sprawy rozpoczęto rozważać dopiero w dniu 7 września po solennem nabożeństwie. Na kongresie tym, który trwał aż do 26 października przyjęto uchwały, które się całemu ogółowi podobały. W całem swem postępowaniu okazali delegaci przyzwoitość, stałość, umiarkowanie i lojalność, a gdy się kongres odroczył aż do dnia 10 maja 1775, spodziewano się, że w tym przeciągu czasu wszystkie nieporozumienia z Anglią zostaną załatwione. Wielka Brytania atoli nie przewidywała grożącego jej niebezpieczeństwa i pozostała uporną.

ROZDZIAŁ II.

Pierwszy rok wojny o niepodległość (1775).

Koloniści przekonani, że wojna jest nieodzo-

wną, poczęli się do niej przygotowywać w lecie i jesieni r. 1774. Każdego dnia ćwiczono się w robieniu bronią, przysposobiano kule i proch, fabrykowano broń, a w Massachusetts, która to kolonia najbardziej była uciemiężoną, tworzono kompanie i organizowano lud tak, iżby był gotowym powstać w każdej chwili, gdyby potrzeba tego wymagała. Jen. Gage przejęty trwogą, ściągał, zkąd tylko mógł materyały wojenne.

Potrzeba było tylko jednej iskierki, aby wzniecić pożar ogromny. W tem rozniosła się pogłoska, że Anglicy bombardują Boston. W jednej chwili rozległ się od wybrzeża cieśniny Long Island, aż do zielonych gór Berkshire okrzyk: Do broni! Do broni! W kilku dniach było gotowych 30,000 mężów, którzy dążyli do Bostonu. Pogłoska była mylną, lecz jen. Gage przekonał się, że będzie łagodniej musiał postępować i dla tego zwołał konwencyę kolonialną na dzień 5 października do Salem, lecz wkrótce potem cofnął swe rozporządzenie. Pomimo tego przybyło 90 delegatów, którzy się uorganizowali obrawszy John'a Hancock prezydentem, poczem się udali do Cambridge, gdzie ustanowili kongres kolonialny, niezależny od króla, a przewidując wojnę, donieśli innym koloniom, aby były w pogotowiu. Jedediah Preble i Artemas'a Ward, ludzi doświadczonych z wojny francuzko-indyańskiej, zamianowali jenerałami wszystkich mających się organizować oddziałów.

W parlamencie angielskim byli wtenczas ludzie, przeczuwający nadchodzącą burzę, którzy starali się ze wszystkich sił jej zapobiedz, lecz zabiegi ich były nadaremne; inni zaś starali się coraz bardziej uciemiężać Amerykanów. Za ich wpływem zakazał parlament w marcu łowić Amerykanom ryby nad wybrzeżem Nowej Fundlandyi. Ministrowie starali się także wzniecić niezgodę pomiędzy pojedyńczemi koloniami i dla tego stawiali przeszkody handlowi Nowej Anglii i innych kolonii, wyjąwszy koloniom: New York, Delaware i North Carolina. Kolonie te atoli nie dały się schwycić na wędkę.

Było coś wyniosłego w tem powstaniu kolonij przeciw Anglii; słaby stawiał śmiało czoło silnemu. W dniu 1 kwietnia 1775 znajdowało się 3000 żołnierza angielskiego w Bostonie. Jen. Gage mniemał, że jest dość silnym do uśmierzenia mogącego wybuchnąć buntu. Zaniepokojony jednak zgromadzeniem się kolonistów w Concord, położonym 16 mil od Bostonu, wysłał tam 800 ludzi pod dowództwem podpułkownika Smith i majora Pitcairn, aby ich rozproszyć. Było to w nocy z 18 na 19 kwietnia. Koloniści byli o tem uwiadomieni. Nad ranem przybył Pitcairn do Lexington, położonego niedaleko od Concord, lecz tu zastąpiło mu drogę 70 patryotów. Gdy nie chcieli mu ustąpić, kazał dać ognia. Pierwsza popłynęła krew. Ośmiu obywateli zostało zabitych, kilku ranionych, reszta rozproszyła się. Anglicy udali się następnie do Concord i zniszczyli cały zapas amunicyi, pomimo iż zewsząd z po za murów, drzew i płotów do nich strzelano. Pogłoska o tem rozeszła się lotem błyskawicy. Ze wszystkich stron przybywali koloniści, i Anglicy byliby zostali zupełnie zniszczeni, gdyby im nie były nadeszły posiłki. W Charlestown przyszło do krwawego starcia. Gdy Anglicy nazajutrz przybyli do Bostonu, przekonali się, że utracili 273 ludzi; Amerykanów padło 103.

Zapóźno już było, aby się cofnąć. Z wszystkich gór i dolin Nowej Anglii przybywali koloniści setkami — uzbrojeni i bez broni — a na końcu kwietnia składała się armia amerykańska z 20,000 wolontaryuszów, którzy rozłożyli się obozem na około Bostonu i poczęli sypać okopy, chcąc przeciąć jenerałowi Gage drogę. Kongres prowincyonalny tymczasem nie zaniedbywał sprawy także, pracował dzień i noc, nominował oficerów, organizował komisarzów mających się zająć zasobami armii, wydawał obligacye zastępujące pieniądze i ogłosił jenerała Gage „arcynieprzyjacielem" (5-go maja). Wiadomość ta rozeszła się od kolonii do kolonii i przed końcem lata zostali wszyscy gubernatorowie królewscy usunięci z urzędów. Wolontaryusze poczęli także zaczepiać Anglików; pomiędzy innemi zajęli dwie mocne twierdze Ticonderoga i Crown Point nad jeziorem Champlain. Tu zabrano wiele amunicyi i 150 armat, które się powstańcom wielce przydały.

Lud kolonii Massachusetts zrzuciwszy jarzmo królewskie przystąpił do wyboru własnych urzędników. Położenie armii angielskiej stawało się coraz krytyczniejszem, lecz w dniu 25 maja nadeszły posiłki pod jenerałami Howe, Clinton i Burgoyne. Armia angielska w Boston liczyła już 12,000 żołnierza a Gage postanowił uderzyć na powstańców.

W dniu 10 czerwca 1775 wydał proklamacyę, w której ogłosił wszystkich uzbrojonych Amerykanów buntownikami i zdrajcami i tym, którzyby złożyli broń i się poddali, obiecał przebaczenie z wyjątkiem arcyzdrajców John'a Hancock i Samuela Adams, których chciał schwytać i powiesić. Patryoci przeczuwając zamiary Gage'go, wzmacniali swe pozycye jak tylko mogli, a w dniu 16 czerwca posłał jenerał Ward pułkownika Prescott z 1,500 ludźmi do wzgórza Bunker Hill, panującego nad wielką częścią Bostonu, aby je zajął i wzmocnił. Przez omyłkę zajął Breeds Hill, który to pagórek można było obstrzeliwać z miasta armatami. Pracując przez całą noc usypali ludzie Prescotta dość znaczną redutę, nim Anglicy ich spostrzegli.

Gage uznał, iż musi patryotów wypędzić z ich stanowiska, nim przyprowadzą armaty, bo w tym przypadku musiałby opuścić Boston. Rozpoczął z Copp's Hill i z okrętów obstrzeliwać redutę, lecz mógł jej mało tylko szkodzić. Na południe ukończyli patryoci redutę, a rzuciwszy łopaty, schwycili za broń. W tym samym czasie przebyli angielscy jenerałowie Howe i Pigot na czele 3000 ludzi

Charles rzekę i udali się do Morton's Point u podnóża pagórka; ztąd powolnym krokiem w dwóch kolumnach szli na redutę. Pomimo kul armatnich przesyłanych z okrętów i z Copp pagórka zachowywali się Amerykanie spokojnie, póki Anglicy się nie przybliżyli tak blizko, iż było ich można dosięgnąć kulami z strzelb. Anglicy nie wiedzieli, że po za temi okopami było 1500 mężów czekających rozkazu, by przyjąć nieprzyjaciół gradem kul.

O trzeciej godzinie byli Anglicy tylko o dziesięć prętów oddaleni. Prescott kazał dać ognia, a całe roty Anglików padały pod dobrze wymierzonemi strzałami; reszta cofnęła się, uorganizowała na nowo i szła do ataku; Anglicy zostali znów zmuszeni do odwrotu, lecz na pomoc przybył im jen. Clinton; Howe wzmocniony uderzył znowu na redutę; walka trwała 10 minut; gdy Charlestown w pobliżu leżący zapalił się wskutek bomby do niego rzuconej; dym objął walczących; ogień Amerykanów słabł coraz bardziej, — zabrakło im amunicyi, nareszcie ustał zupełnie a Anglicy wdrapali się na wały i zmusili do odwrotu Amerykanów, którzy się jeszcze bronili kolbami. Ścigani przez Anglików udali się do Charlestown-Neck a zasłonięci przez jen. Putnam zajęli Prospect Hill i okopali się tutaj; tak samo uczynili Anglicy na Bunker Hill. Amerykanie utracili w tej bitwie 450 ludzi w zabitych i rannych, Anglicy 1100.

Była to pierwsza prawdziwa bitwa podczas rewolucyi i trwała dwie godziny. W walce tej, która się powinna nazywać bitwą pod Breed's Hill, a nie pod Bunker Hill jak to historya wspomina, padł jeden z najzacniejszych patryotów — dr. Warren. Został pochowany na tem samem miejscu, gdzie padł; miejsce to zdobi dzisiaj pomnik wysoki, słynny po całej Ameryce.

I w innych koloniach rozpoczął się teraz ruch patryotyczny. Do enthuzyazmu dla sprawy amerykańskiej przyczynił się najbardziej słynny Patrick Henry, który grzmiącą mową zajął całe ciało prawodawcze w Richmond, Va. Mowę swą zakończył słowy: „Dajcie mi wolność, lub dajcie mi śmierć!" (23 marca 1775). Gdy Dunimore, gubernator Virginii na rozkaz ministeryum zabrał znaczną ilość prochu, własność kolonii, i takowy na okręt angielski przewieźć kazał, udał się Henry na czele uzbrojonych obywateli do naczelnika okrętu i zmusił go do wydania prochu. Jeszcze przed bitwą pod Bunker Hill wygnano gubernatora (4 czerwca).

W północnej i południowej Carolinie i w Georgii wypowiedział lud także królowi posłuszeństwo i wypędził jego gubernatorów.

Tymczasem zgromadził się w Philadelphii drugi kontynentalny kongres (10 maja) i uchwalił podać Anglii jeszcze raz rękę do zgody i wysłał (w lipcu) do rządu angielskiego pismo, w którem wyłuszczył wszystkie niekorzyści, które mogłyby tak dla Anglii jako i dla kolonij z walki wyniknąć. Pomimo tego, nie zapomniano o obronie kraju i dla tego rozporządził kongres, aby kolonie wystawiły kontingens z 20,000 ludzi a Jerzy Washington, który liczył wtenczas lat 43, został zamianowany naczelnikiem wszystkich wojsk amerykańskich.

Washington objął dowództwo w dniu 3 lipca i za pomocą jenerała Gates zreorganizował armię tak, iż było można przedsięwziąść regularne oblężenie Anglików w Bostonie. Przez lato i jesień starał się Washington głównie o to, aby załogę bostońską zabrać w niewolę lub też rozpędzić.

Na końcu maja wydał kongres proklamacyę do kolonistów kanadyjskich, żądając ich współudziału w walce przeciw Anglii. Ci zaś różniąc się od patryotów amerykańskich mową, religią i stosunkami społeczeńskiemi, nie przyjęli propozycyi im zrobionej.

Kongres postanowił więc zająć Canadę, zwłaszcza, że przez zajęcie dwóch fortec nad jeziorem Champlain miał drogę do niej już otwartą. Jenerałów Schuyler i Montgommery przeznaczono do uskutecznienia tego zamiaru. W końcu sierpnia przybyła armia przed St. John nad rzeką Sorel, lecz Schuyler przekonawszy się, że załoga jest zbyt silną i że Indyanie są źle usposobieni dla patryotów, cofnął się do wyspy Aux Noix, aby oczekiwać posiłków. Zachorowawszy atoli wrócił do Albany, zdając dowództwo jenerałowi Montgommery. Ten nie pozostał długo bezczynnym, lecz przystąpił w wrześniu do oblężenia warowni St. John, którego załoga tak uporczywie się broniła, iż Montgommery po dwa kroć zamyślał zaniechać oblężenia. Wycieczki odważnej załogi zwłaszcza szkodziły Amerykanom. W tym samym czasie przeszedł pułkownik Ethan Allen rzekę św. Wawrzyńca i na czele 80 tylko ludzi uderzył na Montreal, gdzie się znajdował jen. Prescott na czele znacznej załogi; Allen został pobity, pojmany i w kajdanach odesłany do Anglii. Inna ekspedycya pod pułkownikiem Bedell powiodła się lepiej. Ten zajął w dniu 30 października twierdzę Chambly; w dniu 1 listopada zaś został Guy Carleton, gubernator Canady, spieszący na odsiecz twierdzy St. John pobity przez pułkownika Warner. Wskutek tych wypadków poddała się twierdza St. John w dniu 3 listopada. Montreal poddał się w dniu 13 listopada. Montgommery pomimo zimy postanowił udać się do Quebec z małym swoim oddziałem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)